

Nr. 7. Cieszcie się lubym wiekiem, bo prędko uleci,
Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci! 1. Kwietnia.

WAKACJE ZDZISŁAWKA.

III.

(*Dokończenie*).

Po uczcie, która jak utrzymywał Zygmuś przynosiła kucharce wielki zaszczyt, Zosia odpasawszy fartuszek, wzięła Zygmusia za rękę i udała się z nim do pokoju aby mu pokazać rysunek Zdzisławka.

Zdzisławek opierał się temu stanowczo. Pochodziło to zapewne z skromności, bo powtarzał ciągle że nie ma co poka-

zywać. Nareszcie jednak Zygmuś dostał do rąk ów rysunek. Ujrzawszy go wykrzyknął z zadziwienia:

— Czy być może? Czy mię oczy mylą? Ach! nie—to ten sam.

Zdzisław zarumienił się po uszy. Zygmuś wziął go na bok i szeptał mu coś do ucha.

Wieczorem rozjechali się goście i Zygmuś odjechał ze swemi rodzicami, pożegnany przez Zdzisławka obojętnie a przez inne dzieci z żalem.

— Co tobie mówił Zygmuś, gdy cię wziął na bok po obejrzeniu twojego rysunku? pytała nazajutrz Zosia braciszka.

— Czyż ty wszystko wiedzieć powinnaś? odpowie Zdzisław; o! ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

— Ależ bo to istotnie rzecz bardzo ciekawa.

— Cóż to było? zapytała pani Krzycka.

— Nie wiem, ale słyszałam wyraźnie słowa Zygmusia: „Nie chcę cię zawstydzić i dla tego nikomu nic nie powiem“.

Zdzisław zgromił siostrzyczkę i pani Krzycka utrzymywała że Zosi musiało się zdawać.

Zdzisławek poszedł się kąpać i Wojciech mu towarzyszył. Nad brzegiem rzeki stało kilku chłopców wiejskich, którzy przypatrywali się paniczowi. Zdzisławek wyszukał miejsce najpłytsze i udawał pływacza. Ponieważ pływać nie umiał, właściwie więc chodził tylko po piasku, posuwając się na rękach i nogach, i to nazywało się pływaniem. Chłopcy stojący na brzegu, śmielsi od Zdzisławka i umiejący doskonale pływać, śmiali się półgębkiem z panicza. Nareszcie Zdzisławek wykąpawszy się wyszedł na brzeg.

— Któryż z was potrafi tak pływać jak ja? zagadał do chłopców, spodziewając się po nich niezwykłego podziwu

Zawiódł się bardzo. Chłopcy parsknęli śmiechem, a był też pomiędzy nimi Jasiek, służący we dworze za pastucha do gęsi, który rzekł bez ogródki:

— Proszę panicza, to się nie tak pływa; panicz nie pływał tylko skakał jak żaba.

Zdzisław aż pobladł z gniewu, ale nie rzekł i słowa, i w milczeniu kończył się ubierać.

Wojciech przystąpił bliżej.

— Jabym go nauczył! tego zuchwalca! rzekł wskazując na Jaśka. Nauczyłbym go pływać! Niech mu panicz każe aby pokazał co umie. I zrobił gest wyrazisty.

Zdzisławkowi nie trzeba było mówić dwa razy. Podszedł z tyłu do Jaśka i znienacka gdy się tenże niczego nie spodziewał, zepchnął go w wodę. Zapieniły się fale i zakryły biednego chłopca, bo w tem miejscu była największa głębia. Kilka sekund minęło a Jaśka nie było widać. Chociaż umiał doskonale pływać, stracił przytomność będąc tak niespodzianie zepchniętym i poszedł na dno. Widok ten przeraził Zdzisławka. Uniesiony rozpaczą załamał ręce:

— Przebog cóż uczyniłem! On tonie! Boże! dodaj mi siły! I gdy Jaśka jeszcze nie było widać, odezwało się w nim wrodzone uczucie szlachetności, nie namyślając się dłużej wskoczył za nim w rzekę, nim Wojciech zdołał go wstrzymać.

Tymczasem Jasiek wypłynął chociaż z trudnością, bo będąc w ubraniu nie mógł poruszać się swobodnie. Dostawszy się na płytsze miejsce zaczął dobijać się do brzegu, gdy posłyszał krzyk Wojciecha i ujrzał Zdzisławka pasującego się z prądem wody, powrócił więc na głębinę, a pochwyciwszy panicza z całą siłą za włosy, wyratował go od niechybnej śmierci. Tymczasem i Wojciech namyślił się nareszcie wejść w wodę i przy pomocy Jaśka wyniósł na brzeg omdlałego Zdzisławka.

Łatwo pojąć przerażenie i smutek pani Krzyckiej gdy ujrzała syna w tak okropnym stanie. Godzina minęła nim się go docucono. Wojciech zamilczawszy o początku całego zdarzenia, mówił tylko że Zdzisławek chciał ratować tonącego Jaśka; sobie przypisywał zasługę ocalenia obudwu.

Zdzisławek odzyskał życie, ale nie prędko powrócił do przytomności. Był niezmiernie osłabiony i dostał gwałtownej gorączki. Lekarz, po którego posłano niezwłocznie, zapowiedział że choroba potrwa najmniej dwa tygodnie. Pani Krzycka na krok nie odstępowała chorego syna, czuwając nad nim we dnie i w nocy. Zdzisławek dostał zapalenia mózgu, które rozwijało się stopniowo. Przez sześć dni był zupełnie nieprzytomny, nie poznawał nikogo, nawet matki, a jeżeli mówił to od rzeczy.

Nareszcie przesiliła się choroba i zaczął powoli przychodzić do siebie. Wówczas przypomniał sobie co było jego choroby powodem, przypomniał sobie wszystko co zrobił od początku tych nieszczęśliwych wakacji. Smutno mu było. Nie śmiał podnieść oczu na matkę, nie śmiał odbierać od niej dowodów przywiązania i poświęcenia. Gdy noc nadeszła a wśród panującego dokoła milczenia słychać było tylko jednostajny ruch zegaru i cichy oddech matki, drzemiącej w krześle przy łóżku. Zdzisławek zbudziwszy się dumał smutnie całemi godzinami. Wówczas gdy spojrzał na wiszący nad łóżkiem obraz Chrystusa Pana, uczuwał potrzebę i pragnienie modlitwy, zrywał się aby uklęknąć do pacierza, ale jakaś niewidzialna siła odpychała go, jakby go sam Bóg odtrącał.

Jednego dnia gdy już Zdzisławkowi było cokolwiek lepiej, pani Krzycka oddaliła się na chwilę aby spocząć po całonocnem utrudzeniu, a przy chorym zostawiła Wojciecha, który zawsze okazywał szczególniejszą dla Zdzisławka przychylność.

Skoro się Zdzisławek przebudził, Wojciech korzystał ze sposobności aby go zapewnić o swoich najlepszych chęciach.

— Czego panicz tak smutno patrzy? rzekł doń. Nie trzeba bać się niczego, nie powiedziałem nikomu że to panicz zepchnął Jaśka i jemu zagroziłem surowo by się nie ważył wspominać. Owszem wszyscy wychwalają panicza że się panicz naraził na na takie niebezpieczeństwo aby tonącego wyratować. Ksiądz Szymon to aż płakał z radości gdy o tem usłyszał. A co? Czy

nie prawda że panicz może spuścić się na mnie ze wszystkiem. O! ja wiem że mię panicz kiedyś za to wynagrodzi.

— Dziękuję ci za twoje dobre chęci, odpowiedział Zdzisławek słabym głosem, ale twoich usług i rad twoich, które omal nie uczyniły mię mordercą, zupełnie nie potrzebuję. Nie chcę też już aby mię miano za co innego niż jestem w istocie i postanowiłem wyznać wszystko mamie.

— Jakto? i o świadectwach?

— Ma się rozumieć.

— I o tem że panicz sam popchnął Jaśka?

— O wszystkiem, o wszystkiem.

— Niech się panicz zatrzyma jeszcze kilka dni, aż wróci zdrowie; jutro, pojutrze będzie jeszcze dosyć czasu. Pani teraz taka zmartwiona, panicz mógłby ją o chorobę przyprawić.

— Nie, mój Wojciechu, nie namawiaj mię dłużej, mówił Zdzisławek, już się wszystko między nami skończyło. Przebaczam ci żeś mię tak długo do złego prowadził, i ciebie oskarżać nie będę, ale mego postanowienia nie zmienię. O! już mię nic od tego nie odwiedzie.

W tej chwili weszła pani Krzycka a Wojciech spiesznie oddalił się z pokoju.

— Mamo, rzecze Zdzisławek, wyciągając do niej ręce, zgrzeszyłem okropnie przeciwko tobie; nie powinnabyś mię już kochać.

Pani Krzycka sądziła że Zdzisławek znowu dostał gorączki.

— Uspokój się moje drogie dziecię, prosiła sciskając go czule; lekarz zakazał ci mówić, uspokój się. Czy cię znowu boli głowa? I rękę położyła na jego skroni.

— Przez litość mamo, wysłuchaj mię. Muszę ci powiedzieć wszystko. Ach mamo! czy się mogłaś spodziewać że ja...

Zaczęła się spowiedź, która trwała dosyć długo, bo Zdzisławek będąc bardzo osłabionym, nie mógł zebrać myśli i powtarzał się często, a mówił powoli.

Zdzisławek opowiedział matce wszystkie swoje ohydne czyny. Pani Krzycka osłupiała ze zdziwienia; ale po chwili przyszło jej na myśl że Zdzisławek może tylko bredzi w gorączce, więc dalejże uspokajać go znowu i oddaliła się aby przywołać lekarza. Przechodząc koło kredensu, gdzie zwykle przebywał Wojciech, wstąpiła tam chcąc dowiedzieć się z ust jego, którego uważała zawsze za bardzo poczciwego i wiernego sługę, o ile może być prawdopodobieństwa w tem wszystkim co jej Zdzisławek wynurzył. Lecz nie zastała Wojciecha, a natomiast uderzył ją widok nieporządku panującego w całym pokoju, jakby się kto zbierał z pośpiechem. Zdziwiona tem wszystkiem pani Krzycka zadzwoniła na służących i kazała przywołać Wojciecha; lecz daremnie szukano go wszędzie, daremnie gdy się przekonano o jego nieobecności rozesłano za nim posłańców. Widząc na co zasłużył za swoje postępowanie z Zdzisławkiem, nie czekał aż go wypędzą, lecz bez zwłoki zebrał swoje rzeczy, a nawet i inne, które były pod ręką i poszedł nie wiedzieć dokąd.

Nim jeszcze pani Krzycka ochłonęła z pierwszego wrażenia, ujrzała przed gankiem konie księdza proboszcza, który przed trzema dniami nagłą sprawą powołany do miasta, właśnie ztamtąd powracał.

Powitawszy go opowiedziała mu nie tylko stan zdrowia syna, ale i jego ostatnie zeznania i pytała co ma o tem sądzić? Ksiądz Szymon upewnił ją że zeznania były prawdziwe, bo właśnie w ostatniej podróży widział się z dyrektorem szkoły, który mu powiedział że Zdzisławek cały rok nic się nie uczył, i najgorzej się sprawował, że miał najgorsze świadectwa, które prawdopodobnie zniszczył a nie zgubił, a co do rysunku, dodał dyrektor, jeżeli jest w istocie piękny, to musi to być chyba robota Zygmusia, bo Zdzisławek nawet trzymać nie umie ołówka.

Chodziło jeszcze o to aby zbadać czy Zdzisławek doprawdy sam wtrącił Jaśka do wody? Przywołano go i dowiedziano się smutnej prawdy.

Tymczasem Zdzisławkowi po zrobionem wyznaniu było już lżej, a co ważniejsza już nie odpychała siła niewidzialna gdy wzrok błagalny zwrócił ku wizerunkowi Chrystusa. Złożył więc ręce i cichą odmawiał modlitwę gdy się drzwi otworzyły i weszła pani Krzycka i stanęła przy jego łóżku. Nie gniewała się, żadnych nie robłia mu wyrzutów, lecz ze łzami w oczach w milczeniu, łagodnie patrzyła na niego. Zdzisławek nie mógł już powstrzymać łez i szlochając rzucił się w matki objęcia.

Odtąd Zdzisławek z dniem każdym stopniowo wracał do zdrowia. Matka przebaczyła mu i donosząc jego ojcu o całym wypadku, starała się ułagodzić go ile możności. Pan Krzycki zmartwił się niesłychanie i z tego powodu przyspieszył nawet swój powrót. Na Zdzisławka nie można już było gniewać się, tyle okazywał skruchy i żalu. Jakoż przyrzekłszy najuroczyściej poprawę, wkrótce potem, bo już się wakacje skończyły, miał sposobność przekonania rodziców że ją przyrzekł szczerze. —

S. N.

Na Wielkanoc.

Choć zdala od nas ów dzień majowy,
Który nam daje wiosenny kwiat;
Choć milczy dotąd spiewak gajowy,
Czemu się jednak raduje świat?

Choć słonko nie ma tyle promieni
Aby nam ściany ogrzało chat;
Choć listek jeszcze się nie zieleni,
Czemu się jednak raduje świat?...

Bo obchodzimy dziś Zmartwychwstanie,
Ów niepojęty najwyższy cud,
I uroczyste owo zaranie,
W które z radością spogląda lud!

Więc Alleluja spiewajmy Jemu,
I w święty Jego wstępujmy ślad!
A nie pytajmy czemu i czemu
Tak się raduje dokoła świat?

MARCIN KĄCKI.

Z wszystkich twierdz polskich najdzielniej opierała się pociskom bisurmanów twierdza Kamieniecka.

Silnie obwarowana dokoła, dosyć obszerna by pomieścić w sobie ludność miejską, uciekającą do niej przed napadami srogich Turków, wytrwała nie jedno silne oblężenie.

Nie jeden wódz turecki, co się o nią pokusił i silnie dobijał, musiał odejść ze wstydem, z wielką stratą. Dopiero Mahomet IV przycisnął ją tak silnie, że w 1672 r. pod młodym królem Michałem Wiśniowieckim musiała się poddać wrogom a tem samem i całe Podole wydać na pastwę rozjuszonego pogaństwa. Okropna nastała niedola w całej tej ziemi a osobliwie w samym Kamieńcu Podolskim. Kto z mieszkańców polskich nie uszedł w inne bezpieczniejsze strony, musiał znosić podwójną niedolę, jako Polak i Chrześcijanin, których obu Turek był zapamiętałym wrogiem. Natychmiast zmieniono kościoły w pogańskie meczety, zdjęto z nich krzyże, a na ich miejscu błysnął wysoko osadzony półksiężyc, brzmiał daleko miasto dzwonów głos kapłana zwołującego niewiernych na nabożeństwo. W tak opłakanym stanie przetrwał Kamieniec Podolski długi przeciąg czasu, bo aż lat dwadzieścia i siedm. Nie oswobodził go nawet następca młodego Michała, sławny zwycięsca pod Wiedniem, Trębowlą i Podhajcami, dzielny Jan Sobieski. Dopiero Augustowi II. powiodło się zawrzeć w r. 1699 z Turkami pokój Karłowiecki a z nim odzyskać napowrót i Kamieniec Podolski, i osłodzić dolę uciemiężonych mieszkańców. Nie łatwo też wyobrazić sobie radość, z jaką witali Chrześcijanie swoje zhańbione kościoły, synowie swych długo niewidzianych ojców. Rozległ się po całem Podolu głos powszechnej radości! Nie dzielił jej tylko jeden człowiek w całym kraju. Był nim srogi władzca Kamieńca, basza turecki. Smutno przyjął on tę wieść, bo z nią kończyło się jego panowanie nad wydartą ziemią podolską.

Ależ pokój już podpisany, łamać go baszy niepodobna. Oddaje więc Polakom twierdzę, ale przez to nie przestaje myśleć jakby się zemścić na nich, choćby mu do tego nawet użyć przyszło niecnej zdrady.



Prowadzi tedy Kąckiego, któremu król miasto i twierdzę z rąk tureckich odebrać poruczył, do podziemnych lochów, gdzie stały ogromne beczki z prochem, a prócz tego mnóstwo kul, bomb, granatów i innych przeróżnych przyborów wojennych. Tu rozmawiając z Kąckim rzuca basza knot gorejący w miejsce, gdzie właśnie najwięcej prochu stało. Do czego to

nie zdoła doprowadzić podła chęć zemsty! Wolał sam życie postradać, wolał całe miasto z tysiącami ludności oddać raczej niechybnej zgubie i zniszczeniu, niżeli znienawidzonym przez niego Polakom. Ależ Kącki nie stał jak malowany. Dostrzegł prędko, jak wielkie niebezpieczeństwo grozi całemu miastu i w tejże chwili uchwycił knot zapalony, który omal już prochu nie dotknął. Lecz rzucić go niepodobna, a zdusić toż samo, bo byłby tylko tem dokoła iskry rozsypał i ułatwił plan zgubny baszy. Więc trzyma go silnie w ręce, aż dopoki zupełnie w niej nie zgorzał, choć niemałe miał przytem boleści znosić. Co więcej, Kącki mimo piekącego ognia i płomieni, nie zmrużył nawet oka i nie dał żadnego choćby najmniejszego znaku bolu.

Wstyd ogromny ogarnął baszę, plan je go z tak podłą zdradą i ofiarą swego własnego życia uknuty, zniweczyła przytomność wodza polskiego, podłą zdradę zgromiła bohaterska wytrwałość. Ani słowa nie wyrzekł, tylko milcząc podziwiał teraz dzielnego Polaka. Ależ bo i niezwykły to mąż! Niezwykła odwaga i wytrwałość!

Br. Ł.

Bitwa pod Byczyną.

Odkąd Piastom i Jagiellonom brakło potomków, nastawała w Polsce po śmierci każdego króla nieraz przydługa chwila bezkrólewia. A bezkrólewie każde, to czas ciągłych swarów, pasmo ustawicznych niepokojów, tem smutniejszych że waśnili się tu między sobą bracia, tem zawziętszych i szkodliwszych że w tym powszechnym odmęcie nie stało ręki sprężystej do ich przytarcia. Królestwo polskie był to smaczny kąsek, toż na wieść pożądaną o śmierci króla polskiego starano się zewsząd o tron jego i darł się do niego z większą lub mniejszą siłą nieledwie każdy możniejszy książę.

Bezkrólewie po śmierci Stefana Batorego smutniejszem może było od wielu innych. Król ten bowiem umarł niespodzianie i za

wcześnie dla dobra narodu, a z śmiercią swoją zaniósł do grobu wiele najlepszych zamiarów dla kraju, nieuskutecznionych dla krótkiego panowania. Na wielkim Janie Zamojskim, kanclerzu koronnym, spoczęło dobro całej Rzeczypospolitej. A dzieło to nie małe mogło się tylko po takim mężu spodziewać należytego dokonania; berło Stefanowe było nadto ciężkie by je każdy mógł podźwignąć, a naród cały wymagał od kanclerza i króla nowego, spełnienia tych błogich nadziei, które wraz z drogiem życiem królewskiem pogasły w bezkrólewiu. Do tego jeszcze stają na zawadzie Zamojskiemu Zborowscy, szeroko rozgałęziona i można podówczas rodzina polska, rozdrażniona bardzo na Zamojskiego i Batorego za śmierć Samuela Zborowskiego, śmiałka, który podczas swej zasłużonej banicji uwijając się po kraju urągał się z sprawiedliwości i zacnego jej wykonawcy, i knuł spiski z nieprzyjaciołmi ojczyzny, za co na zamku krakowskim ścięty został. Prowadzą tedy Zborowscy po śmierci Batorego na królestwo polskie arcyksięcia austryjackiego Maksymiljana, bo od niego spodziewali się nie tylko że im powróci piastowane niegdyś a utracone dla niecnych knowań dostojeństwa, ale nadto innej jeszcze większej nagrody. Stają więc na polu elekcyjnem wraz z silną swą partją i wojskiem, gatowi zwieść bój ze stroną przeciwną, gdyby tego prawa narodowe nie wzbroniły i należyte ubezpieczenie się strony przeciwnej nie udaremniło. Zamojski zaś upatrzył innego lepszego następcę i temu koronę oddać usilnie pragnął. On to bowiem wspomniał że żyje gdzieś z dala od Polski królewic szwedzki Zygmunt, latorośl wielkiego szczepu Jagiellonów, i jakżeż nie stanąć po jego stronie? W pamięci całego narodu polskiego ożyły dawne świetne czasy królów Jagiellońskich, to też każdy poznał że słuszna za nim głosować. I dzięki tej wdzięczności narodu za liczne dobrodziejstwa, stronnictwo Zamojskiego i Zygmunta stawało się z dniem każdym silniejszem, rosło ciągle, bo wielu nawet dotąd przychylnych Zborowskim i Maksymiljanowi porzuciło ich i stawało po stronie odszukanego potomka Jagiełły. Widząc tę przewagę prymas ogłasza Zygmunta królem polskim

by tem zarazem przeciąć nić swarów szkodliwych. Ale ze Zborowskimi nie tak łatwa sprawa. Chwytają podstępem jakiegoś biskupa i zmuszają go do przyznania korony Maksymiljanowi austryjackiemu. Wybór ten jakkolwiek ze wszech miar zupełnie bezprawny, mógł się stać wielce szkodliwym dla sprawy Zamojskiego i Zygmunta, skoroby tylko Zborowscy Maksymiljana jakim sposobem do Krakowa wprowadzić i tam go co prędzej ukoronować zdołali. Postrzegł niebezpieczeństwo Zamojski i spieszy z silnem wojskiem do Krakowa, by zniweczyć niecne zamiary przeciwników. W ślad za nim pędzą i Zborowscy z siłą zbrojną i z Maksymiljanem i usilnie dobijają się do bram Krakowa. Zamojski wszakże odpiera nieprzyjaciela, wprowadza przybyłego ze Szwecji Zygmunta do stolicy i na skroń jego wkłada osierociałą koronę Stefana Batorego. Aktem tym uroczystym stał się już Zygmunt III. prawym dziedzicem królestwa polskiego, a wszyscy jego przeciwnicy przybrali teraz sromotne piętno gwałcicieli praw narodowych, zdrajców i burzycielów domowych. Trzeba było tylko tak być chciwym korony polskiej jak Maksymiljan, i tak w bezprawiach ciągłych grząść jak Zborowscy, by mimo zwycięstwa Zamojskiego trwać dalej w nieprawym zamiarze, potępionym teraz otwarcie przez cały ogół narodu. Takiemi wszakże byli rzeczywiście Zborowscy i zasłużyli za to najsłuszniej na ciężką karę.

Z powiększonem i oburzonem wojskiem wyrusza Zamojski raz jeszcze przeciw wrogowi, by stanowczo rozstrzygnąć ten ciężki spór domowy. Wojsko nieprzyjacielskie, umęczone ciągłemi marszami, ustępowało coraz dalej, aż w końcu opuściło zupełnie granice królestwa polskiego i stanęło w państwie austryjackiem. Maksymiljan był prawie pewny, że już teraz Polacy przestaną go ścigać. Ale jeżeli on się poważył wtargnąć do państwa polskiego i mięszać tu pokój, tem słuszniej wypadało Zamojskiemu ukarać winowajcę choćby w jego własnym kraju.

Stanęły tedy oba wojska pod miastem Byczyną i oszańcowały się tu w swoich obozach. Był to właśnie dzień 25. Stycz-

nia 1588 r. Słońce mknęło już coraz chyżej ku zachodowi i mrok już gęsty zapadał. Radzono hetmanowi by dzisiaj zaniechał walki dla spoźnionej pory i odłożył ją do dnia jutrzejszego. Wódz spojrzał na słońce, uśmiechnął się lekko i rzekł:

— „Dosyć czasu by pobić wroga, Bóg zawsze przy słusznej sprawie". Po tych słowach osiwiałego już hetmana rzucili się kozacy by zaczepić nieprzyjaciół i dać tem hasło do stanowczej walki. Gdy jednak ci całą siłą na nich uderzyli, rzucili się wszyscy Polacy do boju z wielką odwagą i pewnością wygranej. Bój trwał bardzo krótko. Wróg bezprzestannie ścigany i nękany, wysilił na ten napad wszystkę swą siłę, a Polacy zagrzani męstwem poczęli coraz silniej na nich uderzać. Chwiało się wojsko Zborowskich i Maksymiljana, aż w końcu zupełnie porażone ustąpiło zwycięskim chorągwiom polskim. Straszna to była porażka! Upłynęło wiele krwi nieprzyjacielskiej, padło wiele trupów niemieckich, a więcej jeszcze wzięto do niewoli. W powszechnym tym popłochu udało się sprawcom tej wojny, Zborowskim i Maksymiljanowi uciec do obwarowanej Byczyny. Ale miasto to, jakkolwiek dość warowne i bezpieczne, złą było dla nich kryjówką. Bramy jego nie mogły wytrzymać silnych szturmów oblęgających, otwarły się wreszcie a przez nie wciągnęły do miasta zdobytego zwycięskie hufy polskie. Pośród wielkiej zdobyczy ujęto i arcyksięcia Maksymiljana. Zamojski kazał go odprowadzić do swego zamku w Krasnymstawie i osadzić go tam w więzieniu. Maksymiljan chociaż złamany na duchu tą porażką i niewolą, nie zrzekł się przecież wrodzonej swej dumy. Zaproszony przez swego zwycięscę do stołu nie chciał usiąść obok niego, uważając to za hańbę dla swojej dostojnej osoby siedzieć tuż obok szlachcica polskiego. I dogodził mu też w tej mierze gościnny Zamojski, bo kazał dla niego nakryć stół osobny zastawiony wykwintnemi potrawami. Atoli niewola zawsze niewolą. Dumny jeniec mógł zapomnieć że znajduje się pod więziennym dachem, a tego nie życzył sobie jego zwycięzca. Dano przeto arcyksięciu stół osobny, ale opasano go dokoła przepysznym, złotym łańcuchem, na znak że jest jeńcem.

Sprawa Zygmunta III. odniosła za porażką jej przeciwników stanowcze zwycięztwo. Poznał to i Maksymilian, to też zrzekł się zupełnie swych nieprawnych uroszczeń do królestwa polskiego, poczem w zamian otrzymał zupełną wolność i pozwolenie powrotu do ojczyzny. *Br. Ł.*

Osobliwości wyspy Islandji.

Wielka, pod panowaniem Duńskiem zostająca wyspa Islandja, jakkolwiek tylko północnemi krańcami kół biegunowych dotyka; jednakże do krajów biegunowych policzyć się może. Dla zbytniego zimna zaledwie w połowie jest zamieszkana. Po większej części górzysta i ciągłym śniegiem i lodem pokryta. Ale i te nader smutne okolice są pod wielu względami bardzo zajmujące.

W Islandji żadne prawie nie rodzi się zboże. Używana tu mąka pochodzi z Danji. Okręty kupieckie przybijają do portu położonego na zachodniem wybrzeżu miasta stołecznego Reikiawik, które właściwie jest tylko małem miasteczkiem. W ogólności nieurodzajny tu grunt, za mało roślin pożywnych wydaje. Przed kilku wiekami obfitszą była ta wyspa w płody naturalne. Przyczyną tej tak zadziwiającej zmiany są szczególniej lody, które corocznie w Styczniu z wiatrem wschodnim na wybrzeża zaniesione, wszystkie zatoki niemi napełniają. Straszliwy łoskot i huk oznajmia ich przybycie. Tworzą one po części góry lodowe na 300 stóp wysokie, a w części mniejsze bryły, najmniej jednak 6 stóp grubości mające. Jeżeli te olbrzymie masy lodowe, silnym mrozem za długo są ściśnięte, to sprawiają tak gwałtowne zimno, że ludzie i zwierzęta od niego kostnieją; jeżeli zaś zaczną się roztapiać, to zalewają płaskie brzegi wybrzeża. Trzody schudzonych owiec i nędzne konie, nie znajdując i lichej paszy na zalanych wodą pastwiskach, drżące od zimna, przenoszą się z miejsca na miejsce, i wreszcie z przemrożenia

i głodu, martwe padają. W kilka miesięcy, a zwykle w Marcu, lody z równym jak wprzódy łoskotem, odpływają napowrót.

Uderzającą sprzeczność z zimnem wszystko otrętwiającem, stanowi ogień, w nieustannym ruchu w głębiach ziemi działający. Najgwałtowniej występuje on z licznych gór wulkanicznych, z pomiędzy których Hekla, nie tak swoją wielkością, jak raczej wściekłością nad inne się odznacza. Na szczęście rzadko ona postrach i zgrozę roznosi. Dla powiększenia przerażającego przepychu jej wybuchów, góry lodowe napłynione, jakby z nią w porozumieniu, rozpadając się z straszliwym trzaskiem, przyczyniają się do okazalszego jeszcze widoku. Poczem powietrze oziębia się w wysokim stopniu, a ziemia nadzwyczajnie się rozgrzewa. Po tej zapowiedzi podnosi Hekla swój straszliwy głos. Okropne ryczenie, z przerażającym trzaskiem na przemian, wydobywa się z głębokich otchłani tej góry. Grzmoty podziemne tak są donośne że na 9 mil w około słyszeć się dają; poczem następuje sam wybuch. Słup czarnego dymu wybiega naprzód, potem czerwienieje stopniami, dopóki nie zamieni się w płomienie, równocześnie zaś na wszystkie strony rozrzuca błyskawice. Nagle gorejący płomień w paszczę góry zapada, i znowu w kilka minut wznosi się nowy słup ognia miotający bałwanami płomienia. Lawa zastawająca okolicę nie rychło stygnie i twardnieje, a spodem rozrzażona dalej się posuwa. Ta stopiona masa kamienia tworzy tu ja kinie, z których najrozleglejsza Surtelin przeszło 5000 stóp ma długości, 36 stóp wysokości, a na 50 stóp jest szeroka. W dawniejszych czasach wybuchy Hekli były znaczniejsze; bo w niektórych miejscach często na 70 stóp w głąb ziemi kopać potrzeba, nim się na ślady dawno zasypanego miasta napotka.

Krabla, inna góra ogniem wybuchająca, ma kilka czeluści, i ciągle gęstemi dymi kłębami; jednakże jeżeli silne wiatry rozwieją dymy, to wtedy w głąb krateru zajrzeć nie trudno. Wybuchy góry Katlegio są rzadkie, ale bardzo gwałtowne; najstraszniejszy zdarzył się w r. 1756. *(Dokoń. nast.)*

ROZMAITOŚCI.

Przemysł Japończyków. W Japonji wszystko prawie to samo wyrabiają, czego przemysł i w Europie dostarcza; liczne jednak przedmioty, jak n. p. wyroby lakierowane, snycerskie, porcelany, przewyższają doskonałością europejskie. W stucznem wyrabianiu ze słomy i papieru wszelkiego rodzaju sprzętów do użytku domowego, są niezrównani. Dziwnej piękności wyplatają trzewiki ze słomy jak i maty za najozdobniejsze służyć mogące. Z papieru nie przypuszczającego wody, całkowite sporządzają ubranie i cały dom w sprzęty papierowe zaopatrują.

Szpital dla roślin. Nie tylko dla ludzi i zwierząt są liczne szpitale, ale i dla roślin, po miastach zwłaszcza pielęgnowanych, które w zepsutem i szkodliwemi wyziewami napełnionem powietrzu prędko niszczeją i giną. W Berlinie np. coraz to więcej drzew usycha. W Paryżu jeszcze gorzej się dzieje. Tu władze miejskie zwykły publiczne miejsca zdobić roślinami w doniczkach, i odsełać je do szpitala, jak tylko zachorują. Przeszło 500.000 tych roślin w ciągłej jest wędrówce z Paryża do Passy, dla orzeźwienia ich tam w czystem i świeżem powietrzu; a skoro tylko przyjdą do zdrowia, znowu na dawne miejsce do Paryża wracają. Do szpitalu więc dla ludzi i zwierząt, przybył jeszcze nowy dla roślin.

Przyjaciel dzieci wychodzi dnia 1. i 15. każdego miesiąca. Przedpłata w miejscu wynosi rocznie 4 Złr. 40 cnt. w. a., półrocznie 2 Złr. 20 cnt. w. a. Z przesyłką pocztową rocznie 5. Złr. w. a. półrocznie 2 Zlr. 50 w. a. W W. X. Poznańskiem rocznie 3 talary pruskie. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda. Przedpłatę pocztową (*także z W. X. Poznańskiego*) należy przysyłać **franco** wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktor odpow. Stanisław Nowiński. *Wydawca:* Władysław Zawadzki.

Drukiem M. F. Poremby we Lwowie 1866.